



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLUCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidt: kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

PRZYJACIOŁKI BALZAKA.

Carraud, de Castries ks. d'Abrantès, Sand, Ewa Rzewuska).

Zrakomity francuzki krytyk, autor poniedziałkowych pogadanek, Sainte Beuve, niejedyn lśniący odcinek poświęcił niewieściom wizerunkom, a z doświadczeniem mistrza i znawcy, powtarzał, iż ktokolwiek chce odwzorować postać kobiety, piórem, charakterem czy losem wsławionej, o jedno tylko winien się pytać: — Czy kochała? i jak kochała? Nam-by się zdało, iż należałoby przedewszystkiem trzecie dodać pytanie, a mianowicie: — Kogo kochała? Zresztą, choć może nie tak wyłącznie, i w studyach męskich, prędzej później zawsze o tę samą kwestyą potrącić wypada, a najsilniejsze uczucie wstrząsające sercem i życiem — najpewniejszym też bywa kluczem charakterów, wyjaśniającym niejedną zawilłość. Ze zdwojoną też ciekawością przeglądamy serdeczne karty z życia wybitnych ludzi, i dlatego świeża praca p. Gabryela Ferry zatytułowana: *Balzac et ses Amies*, acz luźno, z dorywczych felietonów utkana, dłużej uwagę naszą uwieścić zdoła. Mistrz nowoczesnego romansu, drobniawego badacz ułomności ludzkich, stworzył szkołę, która dziś pod względem realizmu i naturalizmu zostawiła daleko za sobą pierwszego swego przewodnika. Atoli wpływ jego podziś dzień istnieje, i ztąd krytyka chętnie zwraca się ku jego postaci, więcej może jeszcze, aniżeli ku wietrzałym, jak każdy *wczorajszy* romans, utworom, szukając w jego życiu, losach, listach, i zwierzeniach pierwowzoru dzisiejszej ewolucji powieściowej.

I oto odrazu musimy tu stwierdzić rdzenną sprzeczność zachodzącą między człowiekiem a jego dziełem, między charakterem a piórem Balzaka. Pióro z upodobaniem kreśli ujemne strony „Ludzkiej Komedyi,” idealizuje, a raczej potęguje, brzydkie namietności i nikczemności, studyje brudy i śmiecie ziemskie, wysnuwa z nich potworne obrazy. A tymczasem ów poprzednik Zoli, w zręcznie dokonywanych chirurgicznych sekcjach, sam przestrzegał niemal zakonnej surowości obyczajów, w ich rozluźnieniu upatrując niechybną talentu zagładę. Skrajny też realista ilekroć za pióro pochwycił, był idealistą skończonym we własnym życiu. Pracował twarde i hardo, dla zabezpieczenia sobie niezależności i zdobycia rodzinnej przystani: zamykał się w klasztornej celi nieznanego najczęściej nikomu pomieszkania, unikał wszelkiego towarzystwa, i powtarzał, że należy przedewszystkiem nie wdawać się z kobietami, które bywają, co najmniej, powodem niepowrotnej straty czasu. Zagadnięty: jakie im tedy przyznaje prawa i stanowisko? — odparł, że należałoby się ograniczać na piśmiennym z niemi stosunku, tembardziej, że to kształci styl i wprawia do pisarskiego zawodu!

Jakoby tę radę we własne wprowadzając życie, Balzac zostawił nieprzebraną korespondencyą, pozwalającą zbadać jego własne serdeczne tajemnice. Zdawać-by się mogło, iż u niego rzemiosło pochłonęło do pewnego stopnia całego człowieka. We wszystkich bowiem jego niewieściach przyjaźniach strona literacka stosunku uwidoczniła się jawnie. Prawie zawsze nie serdeczna zaczyna się więc od wymiany wrażeń sprawionych pismami mistrza i opiera się na delikatnym zmyśle krytycznym nowej znajomej przyjaciółki. Tkliwsze uczucia na tej podstawie i gruncie stale zakwitają. A nawzajem i przywiązany lub zakochany autor nie przepomina nigdy, że nim jest z powołania i wyboru. Każdą

istotę, którą gorętszem wyróżnił uczuciem, wpłatał następnie w swe powieściowe opowiadania, przysyłając jednak podobieństwo: „Jest ono dalekie i przyćmione, bo niechętnie własne uczucia rzucam na pastwę ciekawej publiczności i do zwierzeń osobistych bynajmniej skorym nie jestem”.

Pierwsza postać, którą spostrzegamy obok Balzaka, na straży jego talentu i pracy, to siostra jego, Laura Surville, dźwigająca go ze zwątpienia własną wiarą w niezawodne powodzenie ukochanego brata. Zdaje się, iż nawet udzielała mu niekiedy gotowego spółpracownictwa, a zawsze dodawała mu otuchy i bodźca, powtarzając: „Z takim, jak twój, talentem, nie podobna zmarnieć, nie sposób zginać bez sławy.” Podzwaniała mu wciąż tą nadzieją i tem hasłem, przejmując się siostrzanym zadaniem pocieszycielki i pokrzepicielki. A i pociechy i pokrzepienia wyglądał i potrzebował Balzac wśród ciągłych materialnych walk, które wypełniały całe jego życie. Ojciec sprzeciwiał się jego pisarskim zachciankom, powtarzał, iż pióro nikogo nie wyżywi, a literatura chleba nie daje. Poparty przez matkę i siostrę, Balzac wyswobodził się z pęt karyery prawniczej, do jakiej go przeznaczono, i postanowił ojca przekonać, że i na innej drodze potrafi niezależnie się utrzymać. Atoli bujna fantazyja wiodła go wciąż na manowce spekulacji, nietylko na rolę pracy. Skuszony nadzieją szybszych zysków, rzucił się w wir interesów różnorodnych, to kupując drukarnię i odlewnię czcionek, to zakładając osobne czasopismo, to próbując szczęścia w zaniechanych od czasu Tacyta Kopalniach Sardyńskich. Wszystkie te finansowe próby zawiodły, a i literackie nie odrazu zyskały powodzenie. Pewnego dnia Balzac obudził się z passywami, przechodzącymi cały jego osobisty majątek i najbujniejsze nadzieje dochodów z pióra. Zamiast zwątpić i załamać ręce, postanowił podwoić pracę, i nieodetchnąć, dopóki wszystkich niewypłac i

długów. Skazał się wówczas na życie galernika, ale dotrzymał słowa. Najpiękniejsze lata młodości w następny przepędził sposób. Obiad jadł o piątej, jeśli można nazywać obiadem dziwaczny posiłek, składający się np. z zupy z mleka, kawałka wygotowanej wołowiny, melona i wina szampańskiego; w godzinę później udawał się na spoczynek i spał twardo do północy; wtedy budził się, przywdziewał szlafrok zakonnego kroju i barwy, i pracował przy biurku przez czternaście do szesnastu godzin, zalewając się czarną kawą, której narkotyczne własności trzeźwiły zmęczony umysł. — „Aż nadto wiele myśli wciąż mi po głowie faluje” — powtarzał, przyrównując się do drzewa zbyt owocem obciążonego.

Starczyło roboty, aby opłacać procenta, i wexle, i długi, i wierzycieli, a rzecz dziwna: talent nie ucierpiał na tej gorączkowej produkcji; owszem, rósł i rozwijał się, pomimo warunków tak przeciwnych normalnemu postępowi pióra i myśli. Nie zbrakło Balzacowi dzwigni na ciemne owe dni znoju. Prócz zachęty siostry, miał przy sobie zdrową radę pani Carraud, a nad sobą wdzięk skrzydlaty pani de Berny. Ta ostatnia, przyjaciółka jego rodziny, służyła wielkiemu powieściopisarzowi za „słońce moralne,” jak to sam pięknie wyznaje. Przez lat dwanaście umiała wśród wypełnionego przeróżnemi obowiązkami dnia znaleźć zawsze chwilę dla przyjaźni, choć trudno orzec, azali owa przyjaźń nie była raczej kochaniem. Cokolwiekbaż, ona-to wtajemniczyła Balzaca we wszystkie wyrafinowane arkana dobroci kobiecej, wykintności niewieściej i wdzięku. Poznał i miał ideał w życiu, poczem mógł wpłatać go w swoje fantastyczne twory. I oto w chwili, kiedy mu ów duch opiekuńczy stawał się najpotrzebniejszym, wśród piętrzących się dokoła przeciwności, śmierć pani de Berny pograżyła go w nientuloną żalobę serca.

Atoli inne, stokroć silniejsze znajdował oparcie i poparcie w osobie pani Carraud. Ta przyjaciółka jego siostry prawdziwą też niebawem dla niego siostrą się stała. W tym stosunku niema już żadnego romantycznego odcienia lub wątpliwości, ale jest jasny i prawy spokój szczerej a stałej przyjaźni. Dwustronne spółczucie zawiązało ów długoletni węzeł: pani Carraud litowała się nad spętaniem materialnie troską talentem; Balzac nawzajem bolał nad wyższym duchem niewieści, uwiecznionym w naipowszedniejszym otoczeniu. Bujna wyobraźnia, wyższy umysł, płomienne serce, zarówno skazane były na roślinne życie, w zacisznej ustroni i ciasnych ramach konieczności. Pani Carraud, podobnie jak Laura Surville, wierzyła w talent, w geniusz i tryumf Balzaca, ale więcej od Laury umiała dostrzedz wady i wskazać je młodemu pisarzowi. Służyła mu za publiczność, ostrzegała go co zmienić lub poprawić należy, a zmysł jej krytyczny tak bywał trafny i zastrzony, że Balzac zawierzał ślepo nieomylności zdania i sądu światłej doradczyni. Dzisiejsi ludzie nie znają już podobnych przyjaźni, zwłaszcza między mężczyzną a kobietą; w ogóle zaś stosunek to dziś i węzeł najrzadszy, właściwy epoce pełnej zapалу i jaskrawych ideałów: „Dumnym się czuję z twojej znajomości i przyjaźni. Ku tobie wracam zawsze niby gołąb skrwawiony, ilekroć mnie jakie ostrze zraniło, ty dopomagasz mi oczyścić niwę moję z chwastów, któremi zarosła. Przy tobie mnie tak dobrze, tak pięknie, zawsze coś dobrego z naszego spotkania wynoszę.”

Od r. 1819 do 1850 stosunek powieściopisarza do pani Carraud żadnej nie uległ zmianie, była mu ona zarazem i siostrą i Egeryą, nie w polityce, lecz w literaturze, a często i w życiu...

Inną była bezimienna przyjaźń, która w pełni zadowolniła mistrza pióra, stawiającego za programat najwyższy uczucia miłość, osnutą i ograniczoną na listowaniu. Pewna wielbicielka jego talentu, zawiązała z nim korespondencją, która trwała lat kilka; Balzac nigdy nie zerwał zasłony z tajemniczej nieznajomości. Oczywiście, w tych warunkach roztrząsano się tylko zasadnicze kwestye, przefiltrowane przez alembik metafizyki, a Balzac tak lubił fantastyczność, że

mu niezwykłość podobnego stosunku nad wyraz dogadzała i nie szukał rozwiązania zagadki, owszem, lękał się jej rozwiązania. Razporządzał się przed nieznaną z swych trosk materialnych, przygnęciony ich jarzmem, aż do przyznania i przypisania środkiem pieniężnym najważniejszego wpływu na charakter i kierunek życia. Zauważono słusznie, iż przed Balzakiem *La majesté l'argent*, wszechwładny pieniądz, nie grał żadnej roli w pieśni, ni powieści. On dopiero wprowadził ten nowy żywioł do piśmienictwa, nietylko wskutek własnych doświadczeń, lecz może i skutkiem episyerskiej atmosfery epoki, w której żył i tworzył. Wszakże już Thiers przyznawał, że za panowania Ludwika Filipa opinie przestały rządzić, a tylko interes rozstrzygał. Pogardę romantyków dla mamony rychło zastąpiła spotęgowana dziś cześć dla złota, a wykwitem szkoły inaugurowanej przez Balzaca jest niezawodnie rys naczelną ostatniej powieści Zolli, w której *marzenie* czystej, jak święte ze Złotej Legendy, dziewicy, śni o dobrym i pięknym, ale nadewszystko *bogatym* królewiczu, któryby zaspokoił przyrodzony dziś każdemu dziecku chylącego się do upadku stulecia głód dostatku i używania...

Koleżeńskie stosunki Balzaca ze spółzawodnikami na polu literatury nie wchodziły w zakres uczuć gorętszych, acz najlepszą z niemi zachowywał zgodę, nieraz nawet pewne współnictwo, co się mianowicie uwidocznia wobec księżny Abrantès. Pani ta, po upadku Cesarstwa i utracie małżonka, stworzyła sobie wcale piękne dochody z pióra, ale zupełna nieznajomość arytmetyki rozpraszała każdy fundusz i przywiodła ją w końcu do śmierci w szpitalu. Umierając, słyszała fantowanie ostatnich zabytków świetnej przeszłości. Umiała tyle i tyle rzeczy, a do końca nie potrafiła się nauczyć, że dwa a dwa to cztery, nigdy pięć ani dziesięć... Uczynność Balzaca nieraz złożyła dowody wielkiej dobroci serca dla tej gasnącej gwiazdy epoki napoleońskiej.

Inne były jego stosunki z panią Sand, nacechowane pewnem wesołem, nieco rubasznem koleżeństwem, na które sromala się autorka „*Indyany*,” acz w cichości serca przyznać sobie musiała, iż strój mężki i nazwisko musiały ją często stawiać w anormalnem położeniu. Balzac nie szczędził zachęty ni rad dobrych początkującej powieściopisierce, a jeśli czasem grubym dowcipem zraził i uraził, to znów olśniewał męczącą nieraz obfitością słów i pomysłów, a piękne mu sama oddaje świadectwo, iż wśród losów zmienności zachował pogodę niezamąconą i nigdy się zgryźć nie dał żadnym życia zawodom.

A jednak raz omałoco nie utracił owej swobody ducha, która była talentu jego siłą i zdrowiem.

(Dokończenie nastąpi).

NOTATKI PEDAGOGICZNE.

ROZSĄDNE UŻYWANIE PIENIĘDZY.

przez

Henryka Wernica.

Sztuka rozsądnego używania pieniędzy wymaga pewnej nauki i wprawy, dlatego też i zna ten ważny punkt w wychowaniu młodzieży wczesną należy zwrócić uwagę. Dziwimy się i bolejemy nad tem, że w naszym narodzie tylu jest ludzi lekkomyślnych; lecz zdziwić się przestaniemy, zastanowiwszy się nad okolicznościami, w jakich spędzili swą młodość, w której żadnego pod tym względem nie otrzymali kierunku, a nadto co-

dziennie przypatrywali się lekkomyślności starszych od siebie osób.

Większa część ludzi dorosłych uważa za ujmę sobie liczyć się z groszem, lub też stosować swe wydatki do dochodów. Kilka rubli mniej lub więcej mnie nie zbawi—mówi niejeden—i wydaje tę sumkę na rzeczy niepotrzebne, bez względu na to, iż nazajutrz tęsamą kwotę pożyczycy będzie zmużony. Ta nieznajomość sztuki obchodzenia się z pieniędzmi jest bodaj jedną z przyczyn ubóstwa naszego kraju. W ogóle nie braknie nam siły, nie braknie energii, aby przy pomocy bardzo umiarkowanych środków dojść do pewnego dobrobytu; ale w głowie nam się zaczyna macić, skoro staniemy na tym punkcie. Wówczas zdaje nam się, że zamożność nasza jest niewyczerpana, i puszczaemy wodze wszelkim zachciankom, a dla dogodzenia fantazyi robimy wydatki przyprawiające nas o ruinę. Wszystkie te biedy i nieszczęścia pochodzą ztąd, że zamłodu nie nauczono nas obchodzić się z pieniędzmi. W naszym więc społeczeństwie nauka ta należy do ważniejszych, a jak wszelką instrukcją, tak i tę wcześniej rozpoczynać wypada.

Nauczmy więc młode dzieci rozumnie wydawać pieniądze; przeznaczymy mu tygodniowo niewielką sumkę na nabycie drobnych potrzebnych do jego użytku. Wiele rodziców albo wcale nie uwzględnia tej potrzeby i przez długi czas nie daje dziecku do ręki żadnych pieniędzy, albo daje okolicznościowo, częściej lub rzadziej, nie wymagając z ich użycia żadnego sprawozdania. Twierdzą oni, że taki kontrolowany podarunek byłby czysto fikcyjnym, bo mieszanie się starszych osób tamowałoby swobodne niemi rozporządzenie; wszakże wydawanie pieniędzy bez żadnej kontroli może dać błędne wyobrażenie dziecku o ich wartości i znaczeniu. Ucząc czytać lub pisać, postępujemy bardzo stopniowo, od rzeczy łatwiejszych do trudniejszych; dlaczegoż więc w trudnej sztuce wydatkowania inną obieramy drogę? Dzieci nieprzyzwyczajone do rozsądnego wydawania pieniędzy, będąc w ich posiadaniu, znajdują się jakoby na rozstajnych drogach—nie wie którą z nich ma obrać. Metoda więc i pod tym względem jest bardzo ważną rzeczą. A jak chcąc dziecię zachęcić do miłosierdzia, dajemy mu w rękę pieniądze z naszej kieszeni, tak podobnie wyznaczona przez nas pensyjka przyuczy je czasem do rozumnego wydatkowania bez żadnej kontroli.

Siedmioletnie dziecko winno mieć wyznaczoną co tydzień niewielką sumkę, służącą do załatwiania owych małych sprawunków; nie powinna ona być wszakże zbyt wielką. Gdybyśmy dziecku umiemyemu zaledwie liczyć do dziesięciu, powieźyli do rozporządzenia 2 złote, to dopuścilibyśmy się tegosamego pedagogicznego błędu, jaki popełnia nauczyciel, zadający temuż dziecku przykład kilkucyfrowy. Nadto przez pewien czas trzeba mu dawać szczegółową instrukcję, co i w jakim gatunku ma kupić, a zalecić od samego początku, iżby pierwszeństwo dawało rzeczom lepszym, choć droższym. Udzielona pensyjka ma wyłącznie służyć na załatwienie drobnych sprawunków, nie na łakocie, które od czasu do czasu dzieci od rodziców dostawać mają; gdyż zwyczajnie dzieci, którym dozwolono resztę pozostałą po załatwieniu sprawunków obracać na drobne przyjemności, starają się jaknajmniejszym kosztem je załatwiać, aby jaknajwięcej oszczędzić na rzeczy zbytłkwe.

Trzeba więc im dokładnie wykazać, że rzecz na pozór tańsza istotnie znacznie jest droższą, bo użytek z niej trwa daleko krócej.

Do zapisywania wydatków powinno mieć dziecko oddzielną książeczkę, do której, jeśli jeszcze pisać nie umie, w jego obecności wnosić należy czynione przezeń wydatki. Resztę pozostałą po załatwieniu koniecznych sprawunków, może składać w skarbonce, z której w razach nadzwyczajnych z naszą wiedzą czerpać będzie sumkę potrzebną na pokrycie swych przyjemności.

W miarę wzrostu dziecka można zdwoić jego pensyjkę, tak, iżby wystarczała na zaspakajanie wszystkich drobnych jego potrzeb; ale wtedy samo już dziecko pod naszą kontrolą zapisywać powinno swe wydatki.

Doroślejszemu dziecku powierzać można wię-

ksze sumki, zawsze zastrzegając sobie kontrolę wydatków; co tembardziej jest nakazane, że nie raz dziecię wbrew woli rodziców nabywa rzecz niepotrzebną, a chcąc oszczędzić ojcu niezadowolenia, a sobie napomnienia, ucieka się do symulacji, błędnie czyniąc sprawozdanie ze swych wydatków. Bezkarne udanie się kłamstwa może pobudzić do systematycznego okłamywania siebie i rodziców. Usunąć więc wszelką sposobność do kłamania, żądajmy, iżby dziecię podczas kontroli przedstawiało rzecz nabytą.

Wreszcie następuje epoka mniej więcej pomiędzy 12-ym a 14-ym rokiem, gdy na wszelkie wydatki wychowanec otrzymuje tygodniowo lub miesięcznie sumkę, za której użycie wyłączenie na niego spada odpowiedzialność. Odtąd kontrola może odbywać się coraz rzadziej, raz na dwa lub trzy miesiące, dla przekonania się, czy zapisywanie wydatków nie uległo zaniedbaniu. Z naciskiem tedy trzeba powiedzieć chłopcu, że wolno mu w zupełności rozporządzać swoją sumką, byleby najpierw myślał o tem, co mu jest nieodbitnie potrzebne i dodać, że w razach wątpliwych chętnie mu radą służyć będziemy.

Zdarzyć się może, że wychowanec, przyzwyczajony do systematycznego wydatkowania, w wątpliwych razach, np. gdyby chciał nabyć przedmiot nie bardzo potrzebny, odwoła się do zdania starszych osób; wówczas zwrócimy jego uwagę na to, że zamierzone kupno według naszego zdania zupełnie jest zbędne, gdyż posiadany przedmiot jest jeszcze bardzo dobry i nadługo posłużyć może. Gdyby zaś szło o kupno jakiego przysmaku, powiedzmy, że może to uczynić, bo jest właścicielem swych pieniędzy, ale niech pamięta, że daleko trwalszą sprawiłby sobie przyjemność, gdyby zamiast tego kupił przedmiot zapewniający dłuższy pożytek: książkę, rycinę lub coś podobnego, lub też składał pieniądze na letnią wycieczkę, które wówczas mogą mu być bardzo przydatne. Częstość zapewne wychowanec będzie wymagał wyraźnej zgody naszej na zamierzony przez siebie wydatek. Nie udzielajmy mu jej wszakże, jeśli się to nie zgadza z naszym przekonaniem—i z naciskiem powiedzmy, że to zależy zupełnie od jego woli. Być może, że nie usłucha naszej rady i wskutek tego wkrótce w istotnym znajdzie się kłopot. Nie obarczajmy go za to wyrzutami, a nawet przyjdźmy mu z pomocą, udzielając awans na rachunek pensji, lecz wyraźnie zastrzeżmy, że jeśli przez lekkomyślność powtórnie znajdzie się w tak przykrem położeniu, to nie może liczyć na żadną pomoc z naszej strony.

Prawdopodobnie nauka taka nie pójdzie w las i wychowanec nauczy się ostrożniej postępować z pieniędzmi, gdyby zaś to nie skutkowało, niechaj dozna naturalnych następstw swej nieogledności. Niechaj więc pozbawiony będzie przyjemności, widowiska lub udziału w zabawie swoich rówieśników, połączonej z pewnym wydatkiem. Takie wydarzenia niezawodnie go poprawią, byleby zbyt liściowi krewni lub przyjaciele nie wybawili go z kłopotu chwilowym podarunkiem. Mieszanie się obcych osób nie przyczyni się do powstrzymania jego rozrzutności—i na nie spada odpowiedzialność, jeśli dziecko nie poprawi się ze swej wady.

Istnieje jeszcze jeden środek dostarczania dzieciom potrzebnych na ich wydatki pieniędzy; ale, jakkolwiek posiada on bardzo dobrą stronę, to wątpliwą jest rzeczą, czy uznany zostanie przez nasze społeczeństwo. Zależy on na tem, że dorosłemu 10-cio lub 12-to letniemu dziecku, powierzamy pewien urząd, jak np. dopilnowanie porządku w bibliotece ojcowskiej i jej opylanie, polewanie i pielęgnowanie kwiatów, zeszywanie gazet w oddzielne fascykuly i t. d., za którą-to przysługę może otrzymywać pewną pensję. Inni pedagogowie są znów zdania, żeby dziecię wynagradzano za przysługi podjęte około samego siebie, jak np. czyszczenie obuwia i t. d.

Może kto powie, że w ten sposób dzieci uczą się zbytniej interesowności; że bez żadnego wynagrodzenia winny być wciągane do posług domowych i od najwcześniejszego wieku przyzwyczajane do myślenia o sobie. Atoli rozsądne dzieci dobrze rozumieją, że wynagradzanie ich w ten sposób jest tylko tytułem, pod który pod-

ciągają się pensje im udzielane. Czyżby lepiej było dawać pieniądze dzieciom bez żadnego tytułu? Niechaj wcześniej się one przyzwyczają do tego poglądu, że sprawiedliwym jest tylko wynagrodzenie otrzymane za istotną pracę—i że ono nikomu nie ubliża. Takie urzeczywistnienie jednocześnie przekona wychowanka, ile trud i móżół wymaga praca lub staranność, a pewno z większą oględnością obchodzić się będzie ze swemi rzeczami i nabędzie ważnego przymiotu, oszczędnością zwanego.

Po zamianie kilku listów, które go rozciekawiały, kazał się przedstawić jednej z najświetniejszych gwiazd ówczesnej epoki, księżnie Castries. Pani ta dziwną swą urodą tycyanowskie przypominała typy; czerwone włosy wieńczyły blade czoło, profil rzymską zachował rysów klasycyzm, wtedy nawet, gdy wypadek na polowaniu i nieszczęśliwe spadnięcie z konia przyprawiły ją o wczesne kalectwo.

RAPTULARZ JANA CZECZOTA.

SZKIC LITERACKI

Józefa H. Rychtera.

(Dalszy ciąg).

Do r. 1823 odnieść należy *Widzenie się*. Poeta opisuje tu odwiedzin przyjaciół i znajomych.

Wiersz *Do Gołąbka* przypomina nam chwile ówczesnej tęsknoty:

Gołąbku mój biały, gościu mój drogi,
Powiedźże żkąd przyleciałeś?...

Patrzysz wesoło, myśli przyjemne
W serce się moje wciskają;
Może wyroki jakie tajemne
Przez ciebie poznać się dają?...

O, jak szczęśliwy, kto marzyć umie,
I dobre rzeczy wyróży.
Precz mi rozumie — zimny rozumie!
Twa władza zawsze mnie nuży...

Z Grekami wolę za ptaka lotem
Myśli me puszczać wysoko...
Co ze mną będzie dzisiaj i potem
Rozum nie przejrzy, ni oko.

Gołąbku biały! gościu mój drogi!
Na dobre wróżby tłumaczę.
Do mej najmilszej wróć niebogi;
Zdrowa, wesoła obacz!... i t. d.

Przechodzimy teraz do ballad, które Czeczot — jak się z samej ich ilości okazuje pisał najchętniej.

Nadeszły czasy, kiedy język nasz wyzwolił się z dusznej atmosfery makaroniczno-klasycznej; lecz były to zarazem czasy, kiedy między poezją ludu a szlachty panował zupełny niemal rozbrat.

Do tworzenia pieśni historycznych lud nie był już skłonny. Fantazja ludu skłaniała się więcej do pieśni gminnych, obrzędowych itp. Nowa oświata, mająca swe ognisko na dworach możnowładców, była dla ludu zupełnie obcą i niedostępną. Jedną Ukrainą zachowała jeszcze coś w rodzaju pieśni

rycerskiej; — bo rycerstwo (kozace) było bardziej do ludu zbliżone i niemal związane z jego interesami. To też tylko ukraińskie pieśni historyczne mają piękno usposobienia ludu i miejscowych warunków, wśród których powstały. One utworzyły nowy rodzaj poezji—dumą historyczną, odpowiadającą romancy hiszpańskiej i balladzie angielskiej, rodzaj, który wszedł do poezji artystycznej, tak polskiej, jak i małopolskiej.

Odtąd pieśni, podania, wierzenia i baśnie ludowe były tem obfitym źródłem, z którego czerpali nasi pierwsi romantycy. A że do ballad były bardziej podatne, jako mające więcej pierwiastku epickiego: więc ten rodzaj poezji w pierwszych chwilach epoki romantyzmu był najusilniej uprawiany.

Po Zanie, który, jak wiadomo, pierwszy zaczął pisać balady i one-to — jak mówi Chmielowski w *Studyach i szkicach* — „zbudziły drzemiący geniusz w największym z naszych poetów—w Mickiewiczu“, pisał równocześnie z Mickiewiczem tego rodzaju poezję Czeczot.

W raptularzu znajduje się spora ilość ballad Czeczota, a wszystkie one odnoszą się do jego czasów uniwersyteckich i pobytu w okolicach Wilna i Nowogródka.

Za temat służą poecie podania gminne przeobrażone ze wspomnianych okolic lub też fakta historyczne narodowe, ubrane w formy legend.

Jako próbkę, przytoczę tu w skróceniu dwie ciekawsze.

Balladę *Bekiesz* osnuł poeta na zmyślonem podaniu z czasów panowania Stefana Batorego. Bohaterem opowieści jest znany w historii Bekiesz, wódz węgierski, będący w owych czasach na usługach w Polsce.

Gdzie teraz skromny domeczek Zosi,
Tam niegdyś stały pałace.
Dumna się wieża w obłoki wznosi,
Zegar godziny kołace —
Bramy żelaznym spięte łańcuchem
Strzegą we zbrojach pancerni...

W zamku tym mieszka możny pan, wojewoda,
który nad wszystkie swoje skarby przenosi skarb
jedyny i nieoceniony: piękną Małgosię — córkę
swoję. Stary ojciec marzy tylko o tem jak uszczęśliwić
jedynaczkę, a że jest „z dawnego rodu“
i niezmiernie bogaty: więc dla córki pożąda ry-
cerza „pierwszej wody.“

Jeszcze od swoich piastunek słyshał,
Jak króle córę wydają...

Że kiedy liczny zalotnik
Do ręki jakiej królowny staje:
Wówczas król wołał z całego świata
Ktokolwiek w Boga rad wierzy...

Czy to książę czy „brat szlachcic“ mógł się ubiegać o rękę królowny; lecz trzeba było nasamprzód sprostac rycerskim „zakładom.“ A te zakłady były zazwyczaj bardzo ciężkie i prawie niemożliwe do spełnienia. Lecz „kto dzieln — dokaze cudu.“ Słyszał stary wojewoda, że niegdyś jakiś rycerz wdrapał się po szklanej skale do swej królowny, a miał to być jeden z trzech synów dawno zmarłego Wojewody Trockiego, „głupim“ nazwany.

Otóż ten „głupi“ wojewodzie poszedł w zawody z dwoma swymi mądrymi braćmi i zwyciężył.

Takie to słyshał bajeczne dziwy
Wileński ów wojewoda.

I chociaż dziś nie wierzył w ich prawdopodobieństwo, jednak upatrywał w tej bajce sens moralny: „że do sławy stroma wiedzie ścieżka“. Więc „kto sławny, temu córa!“ — krzyknął wojewoda i postanowił sprosić rycerstwo, postawić zakład i za najdzielniejszego wydać piękną Małgosię.

Był to czas bardzo sprzyjający zamiarom wojewody. Stefan Batory powrócił właśnie z wyprawy i odpoczywał na Litwie; przy nim było mnó-
ż-

two doborowego rycerstwa: to też do ręki Małgosi stanął mnogi zastęp „dzielnych kandydatów“ a między nimi „sławny z odwagi pod polskimi znakami—pan Bekiesz.

Wojewoda sprosił gości. Już zamek wspaniale oświetlony i „pełne są goście pokoje“...

Szumiały puchary—wino wytryska,
Wznoszą Stefana wiwaty!
Was wojewody biały połyska,
Odmłodził świeżemi laty.
I płasy wodzi, a w polskim tanie
Nikt mu pierwszeństwa nie strzyma,
Kontusz mu tylko łśni po żupanie...

Muzyka ucichła. Wojewoda podniósł głos:
— „Bracia Szlachta! Daremne tu swaty. Małgo-
się oddam temu, który z koniem wdrze się na
szczyt środkowej góry przy Wilejce“¹⁾.

„Bravo! ach bravo!“—winem zagrzani
Wszyscy krzyknęli młodzieńce...

A dzielny Bekiesz wręcz im powiada:

Wskaż mi zawody: kiedy co lubię,
Kiedy mnie miłość zagrzeje,
Świat nowy stworzę, świat stary zgubię,
I własne przejdę nadzieje!...

Bekiesz jednak jest zdrajcą i ślubował już mi-
łość innej dziewczycy a dziś staje w zawody o rękę
Małgosi...

Nazajutrz...
Wszyscy nad brzeg Wilny jadą
I z matką Małgoś, i z wojewodą,
Przybyła—z wielką paradą...

„I całe Wilno biegnie,“ by ujrzeć: kto będzie
szczęśliwym wybrańcem losu — „kto piękną Mał-
goś posiedzie?“ Stanęli w szeregu rycerze na ko-
niach a zpośród nich pierwszy Bekiesz spał ru-
maka i wybiegł naprzód...

Pędzi i pędzi... czasem koń prychnie, wierzgnie
silniej kopytem i zniknie w tumanie piasku... Cie-
mne chmury zawisły nad górą i przysłoniły słoń-
ce. Długo patrzyła drużyna w tuman piasku, aż
wreszcie rycerz znikł im z oczu, a niebawem dał
się słyszeć z wierzchołka góry — głos Bekiesza—
na cześć Małgosi!... Ale chmury coraz bardziej
ściemniały horyzont; burza się zerwała, zagrzmia-
ło i kilka piorunów uderzyło w sam wierzchołek.
W tej chwili jakowaś bryła poczęła się toczyć
w dół... Był-to Bekiesz i koń jego.

Z tej opowieści wyprowadza poeta sens moral-
ny, który da się streścić w tych słowach:—Woje-
woda żałował swojej awanturniczej zachcianki
i przyrzekł oddać rękę Małgosi temu rycerzowi,
który sławę zdobędzie na usługach ojczyzny.—Be-
kiesz ukarany został za złamanie wiary.

Ballada *Zamek Nowogrodzki* osnuta jest na
fakcie historycznym napadu Szwedów na Polskę
za panowania Jana Kazimierza.

Gdy Karol naszedł tę ziemię
I krwawe mordy wszędzie rozszerza...

Zniszczał Nowogródek i jego zamek; lecz nie
stało się to wskutek przemocy najeźdźców: gło-
wną przyczyną rzezi i upadku Nowogrodka była
zdrada „pana zamku“, który, zakochawszy się
w szwedzkiej dziewczycy, uległ jej namowom i po-
dał zamek nieprzyjacielowi.

Zamek Nowogrodzki nie jest balladą w ścisłym
znaczeniu tego słowa, ale tylko pobieżnym opo-
wiadaniem, ujętym w formę balladową. Ciekawym
jest ustęp, który ją poprzedza. Przypomina tu

poeta najrańsze chwile swego życia, kiedy uczęsz-
czał do szkół w Nowogrodku (jak nam wiadomo,
razem z Mickiewiczem).

Tam my studenckie lata
Na śwawoli przepędzili.

Tam gdzie dawniej „ryczały działa miedziane“
a w powietrzu „świszczały kule“, dziś przelatuje
„piłka wełniana“—podbijana „palantą“.

Ballada pod tytułem: *Szczupak Kołdyczewski*,
poświęcona Michałowi Wereszczakowi, jest, równie
jak wyżej opisana, osnuta na podaniu z okolic
Nowogrodka. Poprzedza ją, jak niemal wszyst-
kie ballady Czeczota—słówko wstępne:

Pierwszego w świecie lubię próżniaka,
Pierwszego ciebie, Michale,
Choć nie był takim ów Wereszczaka,

„Co posłował na sejmy“; ale masz „serce i u-
mysł równy twoim przodkom“ — mówi poeta—
„mentor“ i radzi Wereszczakowi „wyleźć z zakątka“
ożenić się... „z czynnością“ i stworzyć jakieś
„dzieło obywatelskie.“

Podanie niesie, że niegdyś wrzucono do Jeziora
Kołdyczewskiego szczupaka ze złotym pierście-
niem i znaleziono go po kilku latach w innym je-
ziorze. Poeta bierze więc za podstawę swego
opowiadania owo podanie i wiąże je z historią ro-
dziny Wereszczaków.

A kto w Pieszczance? wy nic nie wiecie,
Ach, jaka szkoda, ach jaka!

Tam mieszkał pan Wereszczaka.

Był to pan, „co lubił dobrze pić, jeść i wojo-
wać.“ Pewnego razu sprosił on do siebie wielu
gości, a po biesiadzie zaproponował: by „poszli na
ryby z niewodem.“ Pan Wereszczaka umiał bar-
dzo dobrze łowić ryby, gdyż mieszkał „gdzie Pry-
peć, gdzie Pińsk i Mozyrze“ i znał „poleszuków
sekretów.“ Poszli więc goście z panem Wereszcza-
ką łowić ryby i złowili między innymi ogromnego
szczupaka. A ponieważ w tym dniu urodziła się
córka jednemu z gości—Imci panu Ancucie, ku-
mowi pana Wereszczaki,—więc na pamiątkę tego
dnia włożono na szczupaka złoty pierścień i puszczo-
no go napowrót do wody.

Sporo czasu minęło od tej chwili. Córka pana
Ancuty wyrosła na urodziwą dziewczynę, a syn pana
Werszczaki, Michał, był już pod wążem. Pewnego
razu wbiegł do dworu pieszcząńskiego strażnik
polowy z Kołdyczewa³⁾ i oznajmił, że obaczył
w Jeziorze Kołdyczewskim owego szczupaka ze
złotym pierścieniem. Na tę wiadomość zrywa się
stary Wereszczaka, przywołuje syna swego Mi-
chała, i obydwoj ze strażnikiem idą na połów.
Nie długi czas minął, a szczupak był w sieci. We-
reszczaka rad z pomyślnego połowu...

Zaklasnął w dłonie, wraca do żony.
„Małzonko“—woła wesoło
Jutro tu będzie gość z Kołdyczewa
Złowiłem jego szczupaka;
Niech się z Sultaniem jeść nie spodziewa⁴⁾;
Godniejszy jest Wereszczaka.

Niebawem sprosił gości, przybył i pan Ancuta
z urodziwą swoją córką. Pan Michał oddawna
pałał affektem miłosnym do panny, a wiadomo by-
ło o tem już i rodzicom.

— „Czas ich poswatać, szanowny kumie — po-

wiada śród biesiady pan Wereszczaka.“—Swataj-
myż panie sąsiedzie!“—odpowiada Ancuta.

I chłopcu oczy szczęściem pałają,
Rumieniec oblał dziewczycę.

I tak Pieszczanka brzmiała wiwatem,
I stanęły zaręczyny...
Zdaje się szczupak był tutaj swatem!

W końcu ballady odzywa się poeta do Michała
Wereszczaki, któremu—jak to powyżej zaznaczy-
len—ofiarował był swój utwór—w te słowa:

Luby Michale! Łowisz szczupaki...
Czy nie popłynie z Serweczy—
I nie przyswata ciebie do jakiej?..

O ja-bym wówczas z najszczerzej chęci,
Wielbiąc wypadek tak miły,
Podał szczupaka wiecznej pamięci
I krzyknął ci z całej siły:
Żyj zdrow, wesoly, z małżonką lubą,
I dziątek wywiedź nam roje;
Bądź twego domu podporą, chlubą,
Łów ryby, jak przodki twoje!

Balladę powyższą zakończył Czeczot — jak wi-
dzimy—wzmianką o „Serweczy“ i nie bez racji.
Serwecz płynie przez wieś tejże nazwy, która na-
leżała do rodziny Niesiołowskich. Michał Weresz-
czaka i Czeczot, bywali tam częstymi, mile wi-
dzianymi gośćmi. W czasie kiedy powstała po-
wyższa ballada, znajdowały się we dworze trzy
urodziwe panny Niesiołowskie; więc to je miał na
myśli poeta, pisząc o szczupaku, który z „Serwe-
czy“ miał popłynąć i przyswatać Michała Weresz-
czakę do jednej z tych panien⁵⁾.

(Dokończenie nastąpi)

SŁOWA A CZYNY.

POWIEŚĆ

SEWERA

(Dalszy ciąg).

X.

Marszałka zatrzymały w Krakowie posiedzenia
Towarzystwa Rolniczego, na których odgrywał
główną rolę.

Tadeusz czekał na stacyi, zamyślony, uroczysty,
pozujać w połowie na mentora, w połowie na po-
wagę. Powagą usiłował przytłumić bicie serca,
gorączkę niecierpliwości—i radości.

— Tylko nie bądź śmiesznym—powtarzał w du-
chu, strojąc marsa a jednocześnie wytyżając wzrok
w stronę Krakowa.—Czy ci nie powinna wystar-
czać przyjaźń?

— Powinna, lecz nie wystarcza — odpowiadał
sam sobie. I to go zmieniało nazewnątrz, lecz
cieszyło w głębi serca.

— I co ci szkodzi, przemawiał za sobą, co ci za-
wadza to uczucie? Sam jeden na świecie, bez rodzi-
ny, prawie bez przyjaciół, bez przyszłości, wśród
ciężkiej pracy na kawałek chleba: dobrze, że
przynajmniej uczucie to rozgrzewa i rozmarza
w ciężkiej prozie życia. Po co je dusić, gnębić
i prześladować? Niechaj wzrasta: przybędzie jedno
więcej serdeczne wspomnienie na starość.

— Śmieszności się strzeż, broń się i walcz z nią.
Od ciebie zależy, abyś się nie zdradził — tylko od
ciebie.

2) Wilejka, rzeczka, wpadająca do Wilii. Jest przy
niej góra zwana Bekieszową między dwiema innemi, „Zam-
kową“ i „Krzyżową“, w Wilnie.

(Przyp. Aut.)

3) Kołdyczewo, miejscowość oddalona od Pieszczanki
o 18 kilom.

(Przyp. Aut.)

4) Kiedy puszczonego szczupaka z pierścieniem do wo-
dy, dowcipkował Imię p. Ancuta, że go zapewne jeść będą
u sultana.

(P. Aut.)

5) Wiadomość tę zawdzięcza autorowi „Wspomnień
z nad Wilii i Niemna“—p. Edw. Pawłowiczowi. (P. Aut.)

Świst lokomotywy wstrząsnął nim, dzwonek się rozległ, na stacyi powstał ruch, gwar. Tadeusz, wzruszony, patrzył. Z okna pierwszej klasy powiewała chusteczka. Błady ze wzruszenia, podbiegł. Ręka obciążona rękawiczką wyciągnęła się do niego.

— Przeczuwałam, że pan tu będziesz. Ojca nie ma, mama zmęczona—a co pudełek, pudeleczek, koszów, waliz! Tęskniłeś pan za nami widocznie, zmizerniałeś, jesteś blady. Należało przyjechać do Krakowa,—szczębiotała wesoło.—Podaj pan rękę mamie i bądź dobrej myśli: nie uciekniemy tak prędko z Rębowa.

Tadeusz był posłuszny, odebrał pudełka i koszyki, podał rękę marszałkowej i zaprowadził ją do powozu.

— Siadaj pan tu przy nas—zawołała żywo Julcia.

Tadeusz chciał się umieścić na koźle.

— Tak dawno nie widzieliśmy pana, tyle ciekawych rzeczy do opowiadania! Jakże pan znajdujesz mamę, mnie? Odpoczęliśmy—nieprawdaz? Marzec przesunie się szybko—potem wiosna, siewy, nadzieje—i...

— Dajże przyjść do słowa panu Tadeuszowi—przerwała matka.

— Pan Tadeusz nie mówi, mamó. Wpatruje się w nas, jakbyśmy z księżycą spadły, jak gdyby nas pierwszy raz w życiu widział. A może nie rad z naszego powrotu?

— Widzę panie zamienione na wielkoświatowe damy, nie mogę się oswoić...

— Oswoisz się pan wkrótce.

— Proszę o cierpliwość.

— A więc osławaj się pan, a my tymczasem będziemy mówić. Od połowy sezonu zaczęłam tęsknić za Rębem. Kraków przy końcu zaczął mi ciężać. Ta pańszczyzna wizyt, toalet, wieczorów, zmęczyła mamę. Z początku ma to urok nowości, lecz prędko się sprzykrzy, znudzi i zaczyna mordować. Ojciec tylko, lubiący towarzystwo, zajęty sprawami kraju, czuł się w swym żywiole.

— Rębów—zawołała dziewczę nerwowo.—Drzewa ogród i ciemny dach dworu.

Matka wychyliła się z powozu. Jej także zaczęło serce żywiej bić. Wóznica podciął batem farnalę, konie pomknęły.

Przed werendą czekał Świdzki, Walenty, dwóch starych połowych, arendarz—z boku gromadka dziewczek i parobków. Przywitanie było krótkie, lecz serdeczne. Na dnie serc kryły się nadzieje otrzymania prezentów z Krakowa.

Po wypakowaniu rzeczy i obiedzie we trójkę zasiedli w pokoju marszałkowej.

— Nareszcie jesteście u siebie,—zawołała Julcia, rzucając się matce w objęcia, a zwróciwszy się do Tadeusza, dodała:—Wyprawa zawiodła, męża nie znalazłam, a raczej on mnie nie szukał.

— Julciu—strofowała ją matka.

— Mamó... nie szukał, temu zaprzeczyc niepodobna. Gdyby szukał, znalazłby z pewnością. Jaśniałam, jak gwiazda, na wszystkich balach, i wszystkich piknikach. Nie rozpaczam, gdyż to wcale nie zmniejsza mej wartości w mych oczach. Bądźmy więc obie dobrej myśli.

— Pani Janowa zrobiła nam sąsiedzką przysługę,—zwróciła się marszałkowa do Tadeusza.

— Mnie—dobrodziejstwo, gdyż wyręczyła mnie o parę tygodni wcześniej w wypowiedzeniu tego, co ja bym musiała powiedzieć. Wyobraź pan sobie położenie moje i młodego człowieka, który, zachwycony angielskimi wentylacjami naszych stajen, oświadcza się o moję rękę, i tem zmusza mnie do wyznania, iż Rębów mimo wentylacji obciążony jest, a może przeciążony... Ostrzegam, cofnij się póki czas...

— A możeby się nie cofnął—odparła matka.—Mógłby się przez czas niewiadomości zakochać. Pamiętaj, że punkt honoru...

— Ach, droga mamó, nie chcę zostać żoną przez punkt honoru.

— Nie zrozumiałeś mnie, moje dziecko—tłómaczyła się zakłopotana matka.

— Pani marszałkowa mówiła o punkcie honoru względem uczucia—poparł matkę Tadeusz.

Dziewczyna milczała, lecz widać było, że nie jest przekonana.

— Nie pojmuje w rodzicach namiętności gwał-

townego wydawania swych córek zamaż. Moi mają jedynaczkę, kochają ją, czują, że osierociejają, gdy się pozbędą jej z domu: mimo to, robią wszystko, aby ją jaknajprędzej wyprawić.

— A to dlatego—odparła poważnie matka—aby córki nie posadzały rodziców o egoizm.

— Niech o to będą spokojni—zawołała dziewczyna.—Ja swoich nie posadzę, lecz proszę, aby mnie nie posadzono, że uciec z domu jest jedynym moim pragnieniem. Tak, młeczko, nie posadź o to swej jedynaczki, kochaj ją i bądź cierpliwa. A pana proszę oddać mi moje berło: klucze, i moję siłę: kasę. Wiem, że jest pusta, lecz to mnie cieszy, iż znajdę w niej kwity spleconych długów.

Tadeusz ostentacyjnie poprowadził dziewczę do kasy. Marszałkowa, zmęczona podróżą, usunęła się do swego pokoju.

— Dziękuję panu za pracę podjętą, za wiadomości, za pamięć, za wszystko co uczynił dla mnie.—Wzruszona, wyciągnęła do Tadeusza rękę.

— A pani przyjmij serdeczne życzenia z powodu zwycięstwa nad sobą w ofierze drogiej pamiątki.—Przycisnął jej rękę do ust.

— Podczas akcyi byłam rozgorączkowaną i nie czułam rany, jaką sobie zadałam, dopiero, gdy wróciłam do domu, otworzyłam biurko i zobaczyłam pustkę, lzy zaczęły mi się cisnąć do oczu. Cierpiałam!... Widzisz pan, że nie pozuję. Przebolełam krótką chwilę, a teraz cieszę się z posiadanej broni do walki i dotrzymania słowa Świdzkiemu.—Wyjęła pugilares, rozłożyła go i zaczęła z dumą i radością układać stówkę po stówce. Na końcu wyjęła kwit z kasy oszczędności na zastawioną broszkę.

— Oddaję go panu pod opiekę. Gdy przyjdzie termin, musimy procent opłacić. Może kiedyś uda mi się, że wróci do mnie, chociaż ośmset papierków to groź. Za tydzień Świdzki jedzie na jarmark do Rzeszowa, a że tajemnicę musimy zachować, konie więc zostaną kupione z pańskich oszczędności..

Chciałabym, jaknajprędzej oczyścić z długów Rębów, zostać w przyszłości jego dziedziczką, a wtedy możeby mi się jeszcze udało upokorzyć krakowską młodzież i zemścić się nad nią.

— Dokuczyli pani—odezwał się Tadeusz.

— Gorzej, bo zażartowali. Wyobraź sobie pan, byłam z początku pewną, że to ja jestem piękną, uroczą, zachwycającą, że wszystkie hołdy są dla mnie, dla mego rozumu, dowcipu, elegancji, tańca, muzyki. A to wszystko przekonałam się, było dla stajen z wentylacjami, zarodowego bydła, kamiennych żłobów i Rębowa bez wexli i długów. Z początku byłam tak rozgniewana, czułam się tak upokorzona, dotknięta do żywego, złą i mściwą, że co wieczór gorączkowo chwytalam dzienniki, patrząc, czy którykolwiek z losów posiadanych przez ojca nie wyszedł. Wypisałam wszystkie numera, posłałam je do kantorów z prośbą, aby jeżeli który wyjdzie, dawali mi w tej chwili znać. W nadziei, że wygram, układałam sobie cały program zemsty, ze wszelkimi możliwymi szczegółami. Nie wygrałam, lecz chęć i nadzieja zemsty w sercu nie zagasły.

— Zgasną wtedy, gdy pani będziesz mogła się mścić.

Dziewczyna wstrząsnęła przecząco głową.

— Zapewniam panią—pochwycił żywo Tadeusz, że wtedy przyjdzie szlachetna duma, trochę pogardy, trochę litości. Skiniesz pani ręką i powiesz: niewarto. I na kimże się tu mścić? Nad ludźmi i światem całym, nad ich barbarzyństwem i dzikością? Imponuje im siła, czy ona się objawia pięścią, czy nagromadzeniem bogactw w jednym ręku. Dodaj pani do tego gwałtowną chęć posiadania bez pracy.

— Ależ ja nie jestem tak zimną i filozoficznie usposobioną, jak pan! Mnie boli—i pragnę odwetu.

— Dziś, lecz jutro, za rok, za dwa.

— Za dziesięć!—zawołała.

— Za dziesięć nie znajdziesz pani żadnego z dzisiejszej młodzieży; będą to starzy kawalerowie lub hreczkosieje zasiedziali na wsi.

— A ja będę starą panną. Śpieszmy się więc, drogi panie, aby dzieła dokonać przed dziesięciu

laty. Za trzy lata musimy mieć pewność—runiemy, czy się wydobędziem?...

XI.

Wiosna zapanowała w całym blasku i sile. Roboty w polu, poparte dwiema nowymi fornalkami i gotówką przywiezioną z Krakowa, rozwijały się szybko. Świdzki, aby pokazać, że gdy są środki, wszystko dobrze pójdzie, przesadzał się w energii.

— Pokażmy ludziom—mawiał stary, myśląc o marszałku—że i z panienką damy sobie radę. Jak jest za co, to świat można przewrócić, lecz z próżnego i Salomon nie należy.

Panienka była dumna z roli, jaką odgrywała w Rębowie wśród całej służby, wobec rodziców i Tadeusza. Do niej się odnoszono we wszystkim, ona dawała rozkazy i w ostatniej instancji rozstrzygała.

Ile razy marszałek spytał się żony:

— Do czego to wszystko prowadzi i jak długo ma trwać ta sielanka?—odpowiadała mu żona:

— Mój Stasiu, tylko się nie sprzeciwiaj. To jej jedyna rozrywka i nadzieja. Wierzy, że uratuje Rębów. Jeżeli to jest złudzenie?...

— Ależ żadne złudzenie—pochwycił marszałek.

— Jeżeli nie złudzenie, to pozwól niech ma przeświadczenie, że ona go uratowała.

— Widzisz, że pozwalam—rzekł marszałek—nie sprzeciwiam się i nie bronię; jeżeli to jednak długo potrwa, dziewczyna może się zmarnować i zmarnieje z pewnością, jeżeli na to nie poradzimy.

— Jak tylko jest rada, słucham cię.

— Układam projekt wycieczki waszej do Szczawnicy i Krynicy... Możecie także wpaść do Zakopanego. W Zakopanem rozkładają się co rok obozem Warszawiaczy.

— Na wycieczkę w celu wyszukiwania konkurenta Julcia nigdy się nie zgodzi. Nadto zrażona Krakowem, nabrała wstrętu do tej roli.

— Któż mówi o łapaniu konkurentów?

— Ona; powie ci to w tej chwili, jak mnie oświadczyła po powrocie z Krakowa.

— Ależ to dziwie! Na tej podstawie żadna z młodych panien nie mogłaby nigdzie z domu wyruszyć.

— Być może, a nawet, co do mnie, zgadzam się z tobą, lecz proszę cię, sam z nią w tej sprawie pogadaj i namów ją. Jeżeli ci się tylko uda, jestem gotowa. Lecz, Stasiu, ostrożnie: dziewczyna ambitna i w postanowieniach wytrwała. Uda nie czy prawda, lecz widać, że polubiła nowy zawód. Wstaje o świcie, biega, rządzi...

— I opaliła się, jak cygan—zawołał marszałek.—Tadeusz podtrzymuje w niej ten zapal. Zdaje im się, że naprawdę rządzi, gospodarują i dźwigają nas z ruiny. Gdy tymczasem jedna moja na tydzień rozmowa ze Świdzkim wystarcza, aby kierować sprawami Rębowa. Wpływ tego sentymentalnego romantyka na dziewczynę z każdym dniem wzrasta. Należy to raz przeciąć.

— Ależ, Stasiu, to jedyny nasz przyjaciel.

— Za drogo każe sobie swą przyjaźń płacić.

— Jesteś rozdrażniony i dlatego niesprawiedliwy.

— Jestem zrozpaczony—zawołał—patrzac na marnowanie się jednego dziecka.

— Ratuj je, ktoś ci zabrania?

— Ty, ona sama, wasz przyjaciel, wszysej... I Bóg nie może zbawić człowieka, bez jego woli.—Rzuciwszy wielki frazes wyszedł, nie czekając na odpowiedź żony.

W tym samym czasie wracała Julcia z pola, wózkem ciągnionym przez jednego konika. Powoziła się sama. Konik był posłuszny i dobrze wykarmiony, szedł szparko klusa i parzał radośnie. Dziewczyna, zarumieniona od wiatru, zamysłona, zwolniła lejce, dając swobodę koniowi. Szeptala urywane wyrazy, liczby wybiegały z jej ust. Na zakończenie monologu rozśmiała się wesoło, radośnie, pociągnęła lejce, śmignęła batem, koń przyspieszył biegu—rozpromieniona, zajechała przed dwór.

Na werandzie czekał na nią marszałek.

— Kochany ojcule — wołała, rzucając się w jego objęcia. — Objeżdżałam pola, robiłam przegląd urodzajów, obliczyłam sperandę i — i.

— I cóż? — spytał ojciec.

— Jestem w dobrym humorze. Przy szczęściu i wytrwałości wybrniemy: cel jeszcze daleki, ale nadzieja doda nam sił i energii.

— Cel daleki — poświadczył ojciec, a tymczasem opalisz się, jak cyganka, skóra ci zczernieje, włosy spłowieją na słońcu. I na cóż to wszystko?

Dziewczyna spojrzała na ojca tak jakoś dziwnie, że promienie wzroku dostały mu się do serca, ukłóły go i zabolowały.

— Świderski, Walenty, polowi i karbowi, dadzą sobie radę — mówił dalej tonem tłumaczenia. — Dostyc będzie, gdy nad ogólnym stanem gospodarstwa czuć będziesz i rozkazy z pokoju wydawać, jeżeli cię to bawii i zajmuje.

— Nie dosyc — odparła poważnie. — Nie dosyc, kochany ojcze, przekonałam się...

— Jeżeliś się tak przekonała, to ponieważ sie wy skończona, a do żniwa przeszło miesiąc czasu, może byłoby dobrze, moje dziecko, odpocząć, rozzerwać się...

— Czy do Krakowa? — przerwała.

— Któżby do miasta jechał w lecie? Matka mizerna, osłabiona smutna, kaszle.

— Nie słyszałam, aby kaszlała.

— W nocy, nad ranem. Kaszel nad ranem nie jest dobry. Byłoby bardzo dobrze, gdybyś ją zawiozła do Szczawnicy.

Dziewczyna wpatrzyła się w ojca ciekawie.

— Lekarz radzi Szczawnicę — pośpiesznie dodał.

— Jeżeli radzi, wyprawimy mamę z Felisią.

— Bez ciebie nie pojedzie.

— Uproszę ją.

— Jakby to wyglądało? Matka jadąca do wód bez córk!

— Bardzo ładnie będzie wyglądało, bo dowiedzie, że córka jest zdrowa. — Pochyliwszy się do ojca, szepnęła. — Nie chcę tracić pieniędzy i szukać konkurentów.

— Któż mówi o konkurentach? — odezwał się z odcieniem oburzenia marszałek.

— Ja mówię, a ojciec myśli o nich i boi się, mało, że się boi: drży na samą myśl, aby jego jedynaczka nie została starą panną, i dlatego każe mamie mizernieć i kasłać nad ranem. Nie, drogi ojcze, tego rodzaju wypraw podejmować nie będę. Nie wierzę w ich skuteczność. Niech tylko Rębów będzie czysty: konkurenci zlecą się, jak kruki.

— I zastaną starą pannę?...

— Dla kraków to rzecz obojętna. Przysięgam jednak ojcu, że starą panną do śmierci nie będę. — Powiedziała to tak pewnym głosem i stanowczo, że ojciec nie śmiał powątpiewać i protestować.

— I nie ulegniesz prośbom ojca? — zaczął rzewnie.

— Rozkazuj, zrobię wszystko, tylko nie każ mi odgrywać ról, których grać nie umiem i nigdy się grać nie nauczę.

— I postanawiasz?

— Czekać konkurentów tu, w Rębowie. — Ujęła rękę ojca, niosąc do ust, potem z kokieterią wsunęła swoją pod jego ramię i poprowadziła go do pokoju matki. — „Niema na świecie śmieszniejszej roli w moich oczach — mówiła — nad rolę panny poszukującej męża.”

Marszałek nie umiał, a więcej jeszcze obawiał się, walczyć z jedynaczką: pokonywała go trzeźwością i jasnym praktycznym poglądem na stosunki ludzkie. Po przegranej w Krakowie brakło mu argumentów. Zły był na siebie, obrażony na córkę, lecz zwyciężony — kapitulował.

— Jak to wszystko długo potrwa i do czego to dojdzie? — zapytywał się w duchu, nie chcąc odpowiedzieć; a raczej bojąc się odpowiadać głośno i wyraźnie.

Na parę tygodni przed Świętym Janem zapanał oryginalny ruch na Dworze Rębowskim. Często przed oficyny zajeżdżały bryczki zaprzężone w małe, chude koniki. Wsiadali z nich w długich hałatach brodaci obywatele, przesuując się

pocichu do kancelaryi marszałka. Drzwi się za nimi szczerlnie zamykały i wtedy toczyły się długie tajemnicze, półgłosne narady.

Z początku Julcia nie zwracała uwagi na odwiedziny rodaków starego zakonu, sądząc, że to są sprawy przyszłych wyborów. Lecz gdy spotkała krocącego poważnie Kanarka, bogatego agenta do kupna i sprzedaży dóbr, złowrogie przecucia ścisnęły jej serce.

Zwierzyła się matce, lecz matka nie umiała odpowiedzieć, a nie śmiała pocieszać. Zaniepokojona, zawezwała Tadeusza, lecz i on nie chciał nic stanowczego powiedzieć. Świderski, ponury, zamysłony tarł ręką czoło, wdychał głośno, machał rozpaczliwie ręką, lecz milczał. Słowa z niego nie można było wyciągnąć.

W takim nastroju umysłów, w obecności Tadeusza, wieczorem, wszedł do salonu marszałek, trzymając w ręku arkusz złożonego papieru; był blady, zamysłony, poważny. Julcię przeszły dreszcze przerażenia, matka wlepiła pytający wzrok w męża.

Marszałek zwrócił się do Tadeusza.

(Dalszy ciąg nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

W połowie Marca mieliśmy dwa kompozytorskie koncerty: pierwszy Władysława Żeleńskiego, drugi Maurycego Moszkowskiego. Imię Żeleńskiego już nie jest jednym z tych, co się w mroku i ciszy ukrywa; wszyscy wiemy dobrze, że z jego liry płyną dźwięki potężne, natchnione, które powinny być sympatyczne każdemu sercu. Wiemy, że od chwili, jak opuścił nasze miasto, nie ustaje w pracy i coraz większe, szersze zadanie sobie zakresła: ilustruje poemata znakomitych poetów, aby ze sceny mogły kiedys do nas przemówić. Na koncercie swym podzielił się z nami częścią swego duchowego mienia, pozostawiając nam pełno wrażeń dodatnich i silnych, to jest takich, jakie tylko natchniony artysta wywrzeć zdoła. Śpiew Aldony, muzyka baletowa, oraz kilka nieznanych jeszcze pieśni i chórów męskich, poraz pierwszy u nas zabrzmiały z estrady. Nie wdając się w zbyt specjalny rozbiór krytyczny dzieł Żeleńskiego, rozbiór, który nie byłby tu na miejscu ze względu na szczupłe ramy naszego sprawozdania — ograniczymy się tylko na zaznaczeniu niektórych charakterystycznych rysów muzyki Żeleńskiego — które go tak silnie wyróżniają spośród wielu współczesnych kompozytorów. Przede wszystkim czaruje w nich szlachetność inwencji, urok poetyczny wiejący z każdego pomysłu, oraz brak wszelkiej szarży i poszukiwania blahych efektów. Pieśń Aldony szeroką skalę dramatycznych uczuć porusza, albowiem, za myślą poety, odtwarza poryw zbolącej a jednak silnej wiary duszy. Melodya płynie na akompaniamencie misternym i bogatym. Dwie nowe pieśni „Polali się łzy“ i „Słowiczku mój“, utwierdziły nas w dawno już powziętem przekonaniu, że o miano mistrza pieśni mało kto z Żeleńskim rywalizować może. Z dzieł instrumentacyjnych „Muzyka baletowa“ przedstawia wiele oryginalności w rytmice, oraz w charakterystycznej instrumentacji. „Pienia żałobne“ (Trauerklänge) interesują słuchacza zarówno podniosłością tematu, jak i ze wszechmiar skończonem opracowaniem.

Maurycy Moszkowski dał nam słyszeć w Towarzystwie Muzycznym swe orkiestralne utwory: „Wstęp i muzyka baletowa“ do opery „Boabdil“ i Suite, „Aus Aller Herren Ländern“ Balladę na skrzypce, oraz Gondolierę i walca na fortepian; te dwie ostatnie kompozycje wyznajemy, że są słabe, na dość ogólną modłę pisane; nawet wyborna interpretacja pana Schlözer'a nie zdołała dodać im więcej wdzięku. Natomiast orkiestra u pana Moszkowskiego brzmi tak świetnie, każda melodya przeprowadzona jest tak wspaniale, tak oryginalnie, że nieraz nawet najmniejsza idea

muzyczna, przedstawiona zapomocą niezwykle instrumentacyjnych efektów, czaruje słuchacza. Zkąd to pochodzi, że obcy kompozytorowie umieją wogóle tak znakomicie zażywać orkiestry? mimowoli rodzi się pytanie i odpowiedź natychmiastowa. Artysci zagraniczni, zwłaszcza Niemcy w każdym niemal większem mieście słyszą dobrą orkiestrę, pod ręką ją mają, że tak powiemy: cóż więc dziwnego, że im się nasuwa tysiące pomysłów, nowych kombinacji, z których brzmienia zaraz mogą zdać sobie sprawę? U nas kompozytor pomysły orkiestralne tworzy najczęściej intuicyjnie, z pewną nieśmiałością, która mu skrzydła krępuje. Najlepiej z dzieł Moszkowskiego podobała się muzyka baletowa, dzięki właśnie owym niepospolitym i niepodziwanym efektom instrumentacyjnym, których takie bogactwo wytwarza kompozytor i które tak umiejętnie zastosowuje. Ze „Suity“, znanej nam dawniej z układu czteroręcznego, najwdzięczniejsz przedstawia się „Pieśń niemiecka“, której kantylena smutna przewija się pasmem nieprzerwanem, nabierając coraz innego brzmienia w świetnej instrumentacji. „Taniec hiszpański“, wysoce charakterystyczny, również błyskotliwym kolorytem swym chwilowo rozbudza i elektryzuje; wogóle jednak są to kompozycje, więcej działające na nerwy, niż na umysł słuchacza. Ballada skrzypcowa, dość banalnie w pierwszej swej połowie prowadzona, dalej nabiera więcej dramatyzmu i głębokości; całość jednakże nie sprawia wrażenia jednolitości w przewodniej myśli. Rozumiemy, że ballada jako czysto-fantastyczna forma, nie krępuje autora, lecz w samejże fantastyczności nie dopuszcza się nieusprawiedliwionych zestawień w pomysłach, albowiem wtedy dzieło przestaje być estetycznem, pięknem.

Jako dyrygent pan Maurycy Moszkowski przedstawił się znakomicie i wykazał prawdziwy talent w tym kierunku; pojmując swe zadanie, tak oddziałał na orkiestrę, że pod jego battutą z wytwornem wykończeniem wykonała cały program, uwydatniając najdrobniejsze intencje swego kierownika.

Koncert urządzony staraniem pana Adama Münchheimera, na cel pomnożenia funduszy kaszy wsparcia artystów muzycznych, nie osiągnął pożądanego rezultatu; pustka w sali smutnie robiła wrażenie, dając przykry temat do rozmyślenia, że więcej się u nas dba o zabezpieczenie bytu pracujących w każdym innym kierunku, niż o pracowników na polu sztuki, którzy ze swej strony tak sumiennie wysługują się dobroczynności publicznej, dając jej w dani swe talenta i pracę. A jednak słuchacze gdyby się tam byli znaleźli, usłyszeliiby starannie wykonany program, przez pierwszorzędných artystów, jako to: Michałowski, Barcewicz, pannę Dąbrowską i Cieślowskiego. Widocznie rezerwowano się na bardziej sympatyczne występy estradowe.

Benefisowy koncert Zygmunta Noskowskiego w Towarzystwie Muzycznym również w tym roku odbył się przy mniejszym napływie publiczności. W pierwszej części koncertu, oprócz Allegra z symfonii Mozarta, które wykonała wcale dobrze młoda amatorska orkiestra, pierwsze miejsce zajęła kantata benefisanta „Rok w pieśni ludowej“.

Ta kantata, napisana na solo Sopran, chóry i orkiestrę, składa się z ośmiu części oddzielnych, typowo przedstawiających rozmaite stare obyczaje i obchody ludu naszego; z nich przedewszystkiem musimy wyróżnić numer drugi „Pochód z Gajikiem“ i siódmy, „Zaduszki“ jako najszcześliwiej pomyslane i najstaranniej opracowane. Całość mimo, że nie dorównywa innym cenniejszym dziełom tego kompozytora, jednakże, jak wszystkie te kompozycje, budzi wyższe zainteresowanie pięknem talentu i nauki, przebijającem się w każdym niemal szczególe. Drugą część koncertu wypełnił swą znakomitą grą Michałowski, panna Machwitz zaś wykonała bardzo pięknie arya Haendla i śliczną „Pieśń Cloviga“ z opery Żeleńskiego „Wallenrod.“ Na zakończenie Noskowski wraz z panem Hertzem wykonał na cztery ręce swe dwa krakowiaki osnute na tematach ludowych.

Juliusz Stättler.

JAN ROWLAND STANLEY.

(Dalszy ciąg).

We dwanaście godzin po wspaniałej scenie ujrzenia wód jeziora, Stanley spotkał się z Livingstonem. Starzec to już był z długą siwą brodą; wiek i trudy przebyte, klimat afrykański—odbily się na obliczu bladym i wychudłym, ale siła woli i moc charakteru jaśniały w spojrzeniu, które na widok Europejczyka zaświeciło nagle rozpromienione. Przyjął on Stanleya jak ojciec syna; wprowadził go pod swój dach, gdzie odpoczynek po przebytych kolejach mógł być dopiero prawdziwym, bo wolnym od niepokoju i tej nieustannej czujności, która dotąd nie opuszczała go nigdy, bo czuwała nawet we śnie, czyniąc go ostrożnym na szmer każdy. Siwy „Musunga”—bo taką była nazwa dawana białobrodemu starcowi przez krajowców,—odbierał oznaki wielkiego poważania ze strony ludności zamieszkującej okolice *Wielkiej Wody* i takim też stał się wkrótce i stosunek Stanleya do niego.

Reporter dziennikarski przybywał do tego starca, aby wiadomość o dotarciu do niego wraz z opisem życia, pędzonego w głębi Afryki, wypełniła sensacyjnymi obrazami szpalty dziennika, który na przedsięwzięcie tołożył. Ale rzecz zmieniła się wkrótce. Livingstone nie chciał wracać do Europy, bo nie dokonał jeszcze zadania, dla którego się tu znajdował: zdeterminowania źródeł Nilu. Stanleya przyjmował jedynie, jak Europejczyka, znajdującego się samotnie wśród ludności czarnej—jak starszy młodszego towarzysza na polu pracy podobnej, i stało się to wśród obcowania ich ze sobą, że Stanley, uczuwszy dłoń najpierw wielki szacunek, przywiązał się potem do sędziwego meża uczuciem niemal synowskim, a zarazem wpływ wywarły przezeń na młodzieńca, zaczął dokonywać w nim przemian pewnych.

Pogląd Stanleya na życie zaczął się rozszerzać; podniosłe pragnienia zaczęły budzić się w pierś; reportery poczęła się usuwać na plan drugi; i stawał się z niego podróżnik z inną ideą przewodnią, z innym celem dla zużytkowania swej młodej siły i odważnego jej wywarcia w czynach, zapisujących się w wyższej już rubryce działań ludzkich. W towarzystwie Livingstone'a zwiedził Stanley północno-zachodnie pobrzeże jeziora, którego „czarownych piękności żaden opis oddać nie może.” Tłem obrazu jest szereg gór, odzianych zielonym płaszczem ziół i traw bujnych, szczyty zarastają lasami, gdy podnóża—nagi, poszarpany granit—zanurzają się w wodzie, tworząc mnóstwo przylądków, a każdy ich załom mieści rajski obraz: kępy drzew i krzewów kwitnących, woni nieopisanie rozkosznej. Kontury wspaniałego zwierciadła wód są przepięknej rozmaitości: granitowe wysoki ludzą oko niby rzędem kolumn ze straconemi kapitelami, niby kopułami kościołów, gotycką wieżycą obok Piramidy Faraonów. I widz zachwycony wydaje okrzyk uwielbienia, aby zaraz wkrótce tonął wzrokiem w przepięknych gajach palm, bananów, mimoz i fig bengalskich, ze schowaniem wpośród nich wioskami, które otaczają pola zasiane kukurudzą, a tej bogate, pełne ziarn kłosie, chwieją się pod technieniem wieprzyka, zalatującego od jeziora. Pirogi z sandałowego drzewa wesoło snują się wzdłuż wybrzeży, a tu i tam czarny rybak, zapuściwszy wędkę w jezioro, leży leniwie jak posąg z hebanu na płaskach nadwodnych, czarne zaś dzieciaki pluskają się w wodzie, nie bojąc się krokodyli, które też znajdują się głównie w ujściach rzek, i to znacznie szybciej.

Wśród tych-to wycieczek z Livingstonem powziął Stanley pierwszą myśl wielkiej podróży wskroś Afryki, która pozwoliła mu odkryć rzekę Kongo i uczyniła go wielkim podróżnikiem, człowiekiem na świat sławnym. Livingstone mówił mu o niej—wielkiej arterii wodnej, przepływającej Afrykę Południową, o której prócz niego nie

wiedział nikt—żaden Europejczyk, a o której on pierwszy powziął niewyraźną wiadomość od Arabów. Livingstone namawiał Stanleya do zwrócenia poszukiwań w tym kierunku: do odkrycia nieznanej źródła rzeki, ale sam nie chciał już należeć do tego. Miał on już swoje zadanie, swój dział pracy i nadaremnie Stanley prosił go, aby razem wrócili do Europy, do kraju, a następnie, po pewnym odpoczynku i przygotowaniach potrzebnych, puścili się na spełnienie wielkiego dzieła. Siwy Mussunga nie chciał. Serce jego drgnęło radością na myśl ujrzenia ziemi rodzinnej, dzieci, przyjaciół—ale niemniej nie chciał. Dla pewnych szlachetnych natur podjęta raz praca, jeżeli odpowiada skłonnościom ich duchowej istoty, staje się celem życia; mogą przystem zateśnić nieraz i nie za jedną rzeczą, pozostając na stronie, ale już nie zawrócą ze swojej drogi—i było tak z Livingstonem.

Tak już przyrosł całą duszą do przedsięwzięcia swego, że oderwać się od niego już nie chciał—nie mógł. Ze Stanleyem rozstawać się było mu przecież żal; odprowadził go do Taboru, gdzie też, jak uwiadomił go Stanley, czekała na niego przesyłka rozmaitych przedmiotów, nadesłanych tam dlań przez konsulat angielski. Niemniej powrócił wkrótce w swoje pustynie, a Stanley puścił się z powrotem do Europy, wioząc tam, wraz z wiadomością, że Livingstone żyje, jego listy, a obok tego ciekawy opis własnych przygód i rzeczy widzianych.

II.

Ta pierwsza podróż Stanleya wydała już zaraz niemałe owoce dla nauki, dla ziemioznawstwa. Poglądy jego miały tę szerokość, która otwierała jakoby nową perspektywę w zapatrywaniu się na Afrykę i jej ludy, jej zasoby. Z innego, niż dotąd punktu spojrzano w tę stronę świata i poznano dokładniej nieznajomość tego wielkiego lądu, który dla Europejczyka był pełnym tajemnic, kryjących tam niespodziewane, niepodjęte skarby. Stara Europa roznamietniła się nagle do nich i znalazło się niemało ludzi pragnących dążyć drogą, którą on jakgdyby odkrył im nagle. Bystry jego wzrok widział tam rzeczy, na które inni nie zwracali dotąd uwagi, albo patrzyli na nie z innego, niżeli on, punktu i nie dostrzegali tego, co on: nie dostrzegali w taki, jak on sposób—z tej co on, strony. Jeszcze przed powrotem do Europy, Szkot Cameron, urządził wyprawę do Afryki; puścił się tam właśnie, aby go poszukiwać: jego i Livingstone'a, o których losie nie miano w Europie wiadomości żadnych. Zajmowała się nimi uwaga publiczna Anglii; dopominano się przez dzienniki, aby ktoś podążył im z pomocą, lecz Cameron był jeszcze o kilka dni drogi od Zanzibaru, gdy Stanley dał już wiedzieć o sobie i Livingstonie. Przecież Cameron znajdował się już za daleko, aby miał wracać do domu: listy Stanleya zwróciły uwagę na Kongo, i ku tej-to rzeki dążył ten nowy badacz, ale, że wytknął sobie drogę wprost ku południowi, zniżał się z celem i tylko spotkał się z Livingstonem—ale już na marach!

Meżny starzec znalazł śmierć na brzegach jeziora Bemba, na granicy nieznanych przedtem nikomu, przez nikogo dotąd nie wspomnianych krain: pieczęcią tajemnicy zamkniętych nawet dla Maurów. On jeden zasłyszał o nich od krajowców, i puścił się na nowe odkrycia, aby przecież znaleźć u ich progu śmierć. Wierna służba nie porzuciła jednak ciała: zakonserwowano je w soli i odniesiono do Zanzibaru, aby starzec wrócił, choć trupem, do ojczyzny.

A przyjęła je też ona, jak matka. Uczęciła zwłoki szlachetnego swego syna najwyższemi honorami: dała mu grób w Westminsterze, gdzie ten cichy, skromny przez całe swe życie człowiek spoczął obok królów Anglii.

Stanley sięgnął po spuściznę jego niedokonanego dzieła. Z rozmów, które wiódł niegdyś ze zmarłym, z wycieczek czynionych wspólnie nad jeziorem Tanganyiką, doszedł do przekonania, że

odpływ jego wód pozostaje jeszcze do odkrycia, podobnie, jak i zakręt jeziora Wiktorya Nyanza, i wskutek tego źródła Nilu kryją się dotąd pod zasłoną tajemnicy. W tej chwili właśnie, gdy w Londynie oddawano Livingstonowi honory ostatnie, on, tylko co powróciwszy z pola boju Aszantiów z Anglią, gdzie oglądał dokonane przez nią wzięcie Kumassi, postanowił puścić się w głąb Afryki Środkowej, na co przecież potrzeba było znacznego grosza, którego nie posiadał. Ale dla niego teraz chcieć było to mieć. Dwa wielkie dzienniki *New - York Herald* i *Daily Telegraph* złożyły się natychmiast na sumę potrzebną i dzięki tej ofiarności, która jakkolwiek była dobrze obmyślanem przedsięwzięciem, niemniej przyniosła nauce korzyść wielką, bo jedno z najważniejszych geograficznych odkryć ostatnich czasów dokonaniem zostało przy pomocy funduszy, które Stanley zaczerpnął z tego źródła.

Z tym pośpiechem, z tą szybko stanowiącą wolą, którą się odznaczał i która w znacznej części przyłożyła się do powodzenia jego zamiarów, ruszył podróżnik w nową drogę. Dnia 21 Września 1874 r. znalazł się znowu w Zanzibarze, przygotowując inaczej już, niż poprzednią—wielką wyprawę wskroś Afryki, a 17 Listopada wszystko było gotowe i, nie odpoczywając ani dnia jednego po tej pracy, puścił się w drogę. Miał teraz przy boku swoim trzech Europejczyków, starannie dobranych, niż to było poprzednio: dwóch braci Pococków i Flyderyka Barkera a orszak stanowiący tragarzy i żołnierzy liczył 367 osób. Gdy ta karawana ruszyła w drogę z pakunkami swemi, z bydłami, które musiała prowadzić, tworzyła linią długości kilometra, a była tak umiejętnie zorganizowana, że każda siła miała powierzony sobie ciężar odpowiedni, każde zajęcie przypadało do usposobienia tego, co je spełniał i nawet charakter, temperament każdego był tu brany w rachunek przy rozdawaniu zatrudnień i obowiązków. Silny, muskularny mężczyzna niósł 27 kilo tkaniny; niski, ale pleczysty—worek pociorków ważący 22 kilo. Wrostki od 18 do 20 lat dostawały na barki paki konserwów, lub innych materiałów spożywczych wagi 20 kilo. Najważniejsi i pewnego już wieku, roztropni, spokojni, nieśli kruche łamliwe przedmioty i instrumenta: jak termometry, barometry, pedometry, bussole, zegary, przybory fotograficzne. Trzej najpewniejsi z pomiędzy całej gromady zostali wybrani na tragarzy chronometrów. Było ich trzy,—starannie owiniętych w watę i umieszczonych w pace, ważące wraz z ujemi tylko 11 kilo, bo tu ciężar nie powinien był ugniatać tak ramion, aby niosący go chciał sobie ulżewać zmianą pozycyi, i porzucaniem go częstym dla odpoczynku.

Dwunastu Kirangozi, czyli przewodników, wiodło karawane; wszyscy w czerwonych opończach, aby byli widnymi zdaleka, podtrzymywali wyciągnięte druty, służące karawanie za kordon, którego nie było wolno przekroczyć nikomu, tak, jak nikt nie mógł pozostawać w tyle, dalej nad oznaczoną liczbę kroków. Pochód zamykał oddział najmocniejszych już—Herkulesów wzrostem i siłą,—którym powierzono było dźwiganie rozebranej na części szalupy *Lady Alicya*. Części tych było sześć, do każdej z nich przeznaczono ludzi czterech, zmieniających się kolejno, co czas pewien. Płacono im drożej nawet, niżeli dozorcę; racya otrzymanego pożywienia była dla nich podwojoną i ci tylko mieli przywilej zabrania ze sobą żon swoich. Kobiet liczyła karawana trzydzieści sześć i sześciu chłopców, którzy towarzyszyli matkom, niosąc każdy pakunek gospodarskich narzędzi rodziny. W czasie podróży urodziło się kilkoro czarnych dzieciaków, które już dreptały same, gdy karawana wróciła na miejsce.

Początek podróży był bardzo ciężki, jakkolwiek posuwanie się dobrze znaną i ogólnie przez karawany używaną, czarnemi stopami ubitą już drogą. Pora deszczów, *masika*, zaskoczyła wyprawę po miesięcznym pochodzie, do czego przyłączyła się wkrótce kłeska niespodziewana. W krainie Ugogo, którą przebywać musiano, pannał srogi głód; trudno było dostać w wioskach wśród których się zatrzymywano, jakiegokolwiek ziarna, i wskutek ponoszonych braków jeden z Europejczyków, Edward Pocock, umarł, wycień-

czony, pogrążając brata w wielkim smutku, który podzielał Stanley.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Blankiety deklaracyjne na *Wystawę pracy kobiecej*, są już wydawane, sobom interessowanym, przez komitet Muzeum Przemysłowego.

— W projekcie ustawy dla mającej się założyć w Radomiu kasy emerytalnej rzemieślników i mniej zamożnych przemysłowców, skreślonym przez J. Budzyńskiego, danym został przystęp kobiecie stanu wolnego, obyczajów uczciwych, wieku skończonych lat szesnastu.

— P. Felicja Buszkowska otrzymała pozwolenie na otwarcie w Warszawie zakładu dla dzieci od lat 4 do 7, z celem pożytecznego ich zajęcia i zabawiania przez pewną liczbę godzin. Inaczej mówiąc, jest to ochrona dla dzieci klas zamożniejszych; przypuścić przecież trzeba, że będą z niej korzystać wyłącznie dzieci matek, pracujących poza domem, na utrzymanie rodziny, a nigdy i w żadnym razie te, których matki przebywają w domu, mniej lub więcej zajęte koło gospodarstwa—matki panie. Tylko konieczność może zwolnić matkę z tych obowiązków wychowawczych, które nie są wręcz nauką, bo do tej nie każda uzdolniona być może; przytem nauka wymaga pewnej regularności, trudnej do otrzymania przy zajęciach gospodni domu i liczniejszej rodzinie. Lecz wtedy nawet, gdy matka wyręcza się pomocą bony, oko jej czuwa i atmosfera rodzinna owiewa dziecko.

— Na konkursie ogłoszonym w Sztokholmie, na najlepszą monografię wynalazków elekto-technicznych, otrzymała pierwszą nagrodę, 5.000 franków, p. Józefa Chybińska, poprzednio studentka Uniwersytetu Zurychskiego na wydziale nauk przyrodniczych, obecnie zamieszkująca w Katalicach pod Odessą.

— P. Karolina Szulecówna, miała odczyt w Pasy pod Paryżem, na który zgromadziło się dwa tysiące osób, niemal wyłącznie kobiet. Przedmiotem odczytu była rzecz o kobiecie lekarzu, kierunku jej pracy i pożytku odnoszonym z niej przez społeczeństwo. Rozprawa jej na doktorat traktowała mniej więcej ten sam przedmiot, tylko przedstawiony historycznie w zakresie naszych czasów. Tytuł był też: „Lekarki XIX wieku.” Już w 1868 r., cesarzowa Eugenia dopomagała starającym się o to kobietom, aby dopuszczono je do słuchania wykładów medycyny; podobnie królowa Wiktoria oświadczyła się za lekarskimi studiami kobiety, szczególnie ze względu na Indyę, gdzie kobiety leczone są tylko przez lekarki. Lecz biorąc rzecz w zasadzie, jeżeli może być i jest kobieta lekarka niższego stopnia, dlaczego nie może być kobieta lekarka stopnia wyższego? Tu rozstrzyga tylko jej uzdolnienie naukowe, a o tem zaświadczać stopnie, które otrzymuje ona publicznie na tych samych warunkach studyów i examinów, co mężczyzna. Wyższa szkoła lekarska dla kobiet istnieje w Londynie, w Ameryce jest ich dwie: w Nowym-Yorku i Filadelfii. Stany Zjednoczone mają 2.000 lekarek, między którymi jest 100 profesorów.

Kobiece pismo angielskie, będące organem królowej Wiktorii i noszące też tytuł „The Queen”

(królowa), podała portret p. Szulecówny, bardzo ładny i mile pociągający oko, w todze doktorskiej.

— Joanna Harrison, Angielka, wystąpiła między kandydatami, ubiegającymi się o katedrę archeologii na Uniwersytecie Londyńskim. W tymże uniwersytecie otrzymała pierwszą nagrodę, złoty medal, za języki klasyczne studentka Marya Ludwika Wartley. Przyznano jej przytem stopień „Magister artium”.

— W Zurychu zawiązało się między studującymi tam kobietami stowarzyszenie z celem urządzania w pobliżu uniwersytetu czytelnicy, gdzie w obszernej sali studentki zgromadzać-by się mogły niekiedy w celu porozumiewania się między sobą, a która zarazem może im służyć jako sala wypoczynku, dla przepędzenia czasu między prelekcjami. Tu zgromadzone mogłyby swobodnie rozprawiać, czytać, pisać, przygotowywać się do słuchania wykładów. Założycielką stowarzyszenia jest Szwajcarka, Anna Müller, studentka na wydziale przyrodniczym.

— Francuzka sztukmistrzyni, Leonowa Bertaux, założycielka stowarzyszenia kobiet artystek, zawiązanego przez nią w Paryżu 1881 r., „Union des femmes peintres et sculpteurs” urządziła ósmą już z rzędu *Wystawę artystycznej pracy kobiet*, mieszczącą się, jak poprzednie, w pawilonie Pałacu Przemysłowego. Malarki kwiatów przemagają tu: pisma wyliczając dziesięć, przodujących przed innymi, wymieniają w tej liczbie p. Bielińską. Wystawione kwiaty malowane są olejno, farbami wodnymi, pastelami. Dalej idą portrety w znacznej też liczbie: miniatury i naturalnej wielkości. Wśród mniej licznych obrazów zaznacza się dzieło wielkich rozmiarów malarki z Monachium, Herminii von Preuschen, rozślawionej przez obraz „Mors Imperator”, który parę lat temu policja berlińska chciała usunąć z wystawy tamtejszej, lecz cesarz Wilhelm własnoręcznie pisany rozkazem zostawić go tam kazał. Przedstawia on wielką, wspaniałą salę, wśród której na tronie leży ręka śmierci rzucona purpura. Smutnych losów cesarza Fryderyka przeczytany to obraz. Obok niego wystawiła teraz malarka rzecz z innej zupełnie sfery myśli: „Regina vitae”. Tu jako *królową życia*, przedstawia ona piękność, miłość. Wśród wspaniałej marmurowej kolumnady nad brzegiem morza stoi posąg, przedstawiający Wenus. Cały piedestał i stopy bogini zasłane są kwiatami, wieńcami ofiarnymi, a te czepiają się nawet posągu. Obok brązowy stół ofiarny, na nim kadzielnica, rozpościerając obłok wonnego dymu. Wśród kwiatów przemagają malwy. Obraz wywiera wrażenie wśród tłumów zwiedzających i w świecie artystów.

— Zona angielskiego powieściopisarza i ekonomisty, Walterowa Bessant, zostawszy wybraną na członka londyńskiej rady szkolnej, zwróciła się przez dzienniki do publiczności w sprawie biednych dzieci dzielnicy „East End” którym rozkaz Zarządu Szkolnego nakazuje uczęszczanie do szkoły—o głodzie!... Skutek okazał się bardzo szczęśliwym: siedm szkół tej części miasta, liczących 2.442 dzieci, otrzymuje ciepły, pożywny obiad, co jest im już zapewnione do końca Maja, to jest do końca szkolnego roku. Mąż poświęcił pióro swoje sprawie ubogiej ludności Londynu, żona wzięła do serca jego głos, nawołujący do miłosierdzia. Szlachetna para, szczęśliwa para!

— Król Leopold Belgijski ozdobił orderem Leopolda Karolinę Popp, naczelną redaktorkę politycznego dziennika „Le journal de Bruges”, na którego czele stoi już od lat pięćdziesięciu. Kobieta jest sędziwa, ale umysł dotąd nic nie uciął, nie utracił nic z siły swojej. Pani ta wysoko szanowana w kołach literackich i naukowych, obok pracy dziennikarskiej, zajmuje pewne

stanowisko w literaturze swego kraju, oraz w dziedzinie nauk społecznych i politycznych. W roku bieżącym obchodzi ona pięćdziesięciolecie pisarskiej działalności swojej.

— Lady Dufferin, żona indyjskiego wice-króla, przyjmowała w tych czasach w Kalkucie, w tronnej sali rządowego pałacu, 700 pań indyjskich, które w najkosztowniejszych swych szatach, całe jaśniejące od drogich kamieni, przybywały z różnych stron prowincji indyjskich, dla złożenia jej dziękczynnego adresu za polepszenie bytu kobiet w Indyach. Większość niesiono w kosztownych palankinach, wszystkie zaś zachowywały strój narodowy.

— Pismo włoskie dla kobiet, *Rassegna Femminile*, redagowane przez signorę Zampini Salazaro, przestało wychodzić dla braku czytelniczek, co bynajmniej nie obciąża winą żadną kobiety włoskiej, a przeciwnie każe sądzić dobrze o kierunku jej myślenia. Pismo to, zostające początkowo pod pośrednią opieką królowej Małgorzaty, zaczęło z wolna stawać się tak realistycznym, zaczęło holdować takiej emancypacji, jakiej społeczeństwo włoskie nie pragnie dla kobiety swojej, i przestało być pożądanem u ognisk domowych. Signora Salazaro odpowiedziała na to publiczności włoskiej z mównicy, przez odczyt, wygłoszony w Neapolu. Treścią jego było oskarżenie, że kobieta włoska jest niewolnicą przesądu—że przesądu tego kajdany okuwają ją tak silnie, jak łańcuchy, w których jęczy murzyn, pracujący dla białego plantatora. Nie zdaje się to przecież zgadzać z tem, co okazuje przeszłość i teraźniejszość historii Włoch—kraju, gdzie od wieków katedry uniwersyteckie były otwarte przed kobietą; gdzie w sztuce i naukach zajmowała miejsce wybitne—gdzie mogły się wyszczególnić takie postacie, jak Wiktoria Colonna i mieć takich przyjaciół, jak Michał Anioł. Włochy żądają tylko od kobiet swoich tak dziś, jak zawsze, aby miały w piersiach ideał, który każe podnosić wzrok ku niebu, a przez życie iść czysto i nieskalanie, być strażniczką domowego ogniska, jego świętych tradycji i uczciwego obyczaju.

— Na porządku dziennym parlamentu włoskiego znajduje się złożony tam projekt urzędowania kursów farmaceutycznych dla kobiet, zwłaszcza nauczycielek wiejskich. Włoszki zyskały już przed laty kilku prawo posiadania i prowadzenia aptek, z którego korzystają licznie, zwłaszcza po wsiach, gdzie osiada też wiele kobiet doktorek medycyny.

— Kobięca szkoła sztuk pięknych z tytułem akademii, została otwarta w Kopenhadze z początkiem bieżącego roku szkolnego, podobnie, jak i szkoła dla nauk społecznych i politycznych. Między przedmiotami tam wykładanymi mieści się pod rubryką historii tegoczesnej wykład obowiązującego prawa konstytucyjnego, a rzecz to wielce pożyteczna. Znajomość prawa jest potrzebna każdej dorosłej jednostce ludzkiej i kobieta potrzebuje posiadać je również, bo życie przedstawia tak jej, jak mężczyźnie, te różne kolizje interesów, wśród których nieświadomo nieraz błądzi i wyzyskiwaną bywa przez złych ludzi.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 1-szy powieści pod tytułem **Alicya O'Brien**, przez Skeffingtona Thompsona.

TREŚĆ: Przyjaciółki Balzaca. — Notatki pedagogiczne: Rozsądne używanie pieniędzy, przez Henryka Wernica. — Raptularz Jana Czeczota. Szkice literackie, Józefa H. Rychtera. — Słowa a czyny, powieść przez Sewera. — Ruch muzyczny, przez Juliusza Statlera. — Jan Rowland Stanley. — Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: Arkusz 1-szy powieści pod tytułem: Alicya O'Brien, przez Skeffingtona Thompsona. — Przegląd mód. — 23 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycja stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Вapшава, 29 Mapта 1889 года